

W. Gombrowicz, *Dziennik 1961-1969*, Wydawnictwo Literackie, Kraków 2001, s.7-19.

Piątek

Przedemną Bruno Schulz w przekładzie francuskim, anonsonowany mi już przed paru tygodniami przez „Arletę” (poetkę Suzanne Arlet). Tom opowiadań, wydany przez Julliarda pod tytułem *Traité des Mannequins* (to w większości nowele ze *Sklepów cynamonowych*).

Przedmowy. Naprzód Maurice Nadeau: „...trzeba zapewnić mu miejsce między wielkimi pisarzami naszej epoki”. Potem świetne studium Sandauera, widać że doskonale zadowolonego w Schulzu, ostrożne a przenikliwe.

Bruno.

Od dawna wiedziałem o tym wydaniu, w pocie czoła się przygotowywującym; a jednak, gdym to zobaczył, drgnąłem. Co będzie? „Niewypał”, czy sukces światowy? Jego pokrewieństwo z Kafką może równie dobrze utorować mu drogę, co ją zamknąć. Jeśli powiedzą, że jeden więcej kuzyn, jest zgubiony. Jeśli natomiast dojrzą swoisty blask, światło własne bijące z niego, jak z fosforyzującego owada, wówczas jak po maśle gotów wjechać w wyobrażenie, już obrobione przez Kafkę i jego ród... i wtedy ekstazy smakoszków wyrzucą go w górę. I jeśli rozpoetyzowanie tej prozy nie zmęczy znaną, to olśni... Ale w tej chwili, w lipcu, nic nie da się powiedzieć, niełatwo wyprorokować losy w Paryżu dzieła niepospolitego. 7

Do diabła z Paryżem! Jakież to jednak męczące — Paryż! Gdyby nie Paryż, to ja bym też nie musiał pisać niniejszego *suweniru* o „zmarłym przyjacielu”, to ćwiczenie stylistyczne zostałoby mi oszczędzone!

Sobota

Trudno mówić o przyjaźni — w dobie, kiedyśmy się przyjaźnili, byliśmy obaj jeszcze nie urodzeni. Rok 1934, 35. W Alejach Ujazdowskich. Spacerujemy. Rozmawiamy. On i ja na Służewskiej. On, Witkacy i ja. Nałkowska, on i ja. W tym filmie „przewijającym się na ekranie pamięci” widzę go, jak kogoś prawie obcego, ale i siebie widzę w ten sposób — to nie jesteśmy my, to tylko wstęp do nas, uwertura, prolog.

Chcę od razu wywalić moją nieprzyzwoitość drażniącą i w złym guście: *Bruno mnie wielbił, a ja jego nie wielbiłem*.

Pierwszy raz zjawił się u mnie, na Służewskiej, już po wydaniu *Sklepów cynamonowych* — ja wtedy byłem po *Pamiętniku z okresu dojrzewania*. Drobnym, niesamowitym, chimerycznym, skupionym, natężonym, prawie pałającym — i tak się zaczęły rozmowy, przeważnie na spacerach.

Rzecz pewna, bardzo siebie potrzebowaliśmy. Znajdowaliśmy się w próżni, nasze sytuacje literackie przeszłyte były pustką, nasi admiratorzy byli czymś widmowym w rodzaju *aparent rari nantes in gurgite vasto*, obaj pętaliśmy się po literaturze polskiej niby zakrętas, ozdoba, chimera, gryf.

Bruno, po przeczytaniu pierwszej mojej książki, odkrył we mnie towarzysza. Zgłaszał się żeby znaleźć we mnie potwierdzenie, żebym ja mu dostarczył tego Zewnątrz, bez którego jego życie wewnętrzne skazane było na monolog — i mnie chciał wyrzucić tę samą przysługę. Zgłaszał się jako przyjaciel, ba (podkreślam z naciskiem) jako duch pobratymczy by rozbudować i podnieść mi ducha.

Tutaj zdarzył się „kiks”, albo „zwichnięcie”, wyrażając się językiem naszych utworów... jego wyciągnięta ręka nie 8 natrafiła na moją. Nie odwzajemniłem mu tych uczuć, dałem

mu z siebie okropnie mało, nic prawie, nasz związek stał się fiaskiem... ale może to właśnie było nam — sekretnie — na rękę? Może fiasko raczej, nie zaś szczęśliwa symbioza, potrzebne było jemu i mnie?

Dziś mogę mówić wyraźnie, bo umarł.

Pozwólcie więc, że jeszcze raz powtórzę z rozkoszą: jak on mnie sobą rozbudowywał, jak zasilął. W moim smętnym życiu literackim niemało świństwa doznałem, ale też spotykałem ludzi, co mnie obdarowywali ni stąd, ni zowąd, z hojnością padyszacha — nikt jednak nie był bardziej hojny od Bruna. Nigdy, ani przedtem, ani potem, nie kąpałem się w tak krystalicznej radości z powodu każdego mego artystycznego dokonania. Nikt tak gorąco mi nie przytwierdzał, tak się mną nie cieszył, nie chuchał tak na każdą myśl moją — nie dostrzegam by na przestrzeni całej naszej znajomości ten anielski Bruno w czymkolwiek mi się okazał złośliwy, doprawdy miodem mnie karmił... Wystarczy gdy wam opowiem, jak to było z *Ferdydurką*. Dałem mu ją do czytania, jeszcze nie ukończoną, w maszynopisie, i po tygodniu wręczył mi ją z powrotem, z twarzą zgaszoną.

— Powinien byś raczej wrócić do twojej fantastyki z *Pamiętnika z okresu dojrzewania*, tamten gatunek bardziej ci odpowiada — powiedział z wyraźną i wielką przykrością.

Ale potem, kiedy przeczytał *Ferdydurkę* już w książce, wybuchnął płomieniem, który mnie, zimnego, prawie sparzył. A przyjechawszy do Warszawy, wygłosił o *Ferdydurce* odczyt w Związku Literatów (potem zamieszczony w „Skamandrze”), który był jak fanfara i rozjuszył na niego wszystkich ówczesnych mandarynów.

Czyż myślicie, że nie wiem? O ileż byłoby taktowniej, gdybym w tym *suwenirze* o „zmarłym przyjacielu” nie pchał się z sobą przed niego, na pierwszy plan. Skromność!... Pośpieszam uprzedzić, że znam tę regułę w jej aspekcie zarówno towarzyskim, jak moralnym. Ale czyż nie powiedział książkę Ypsilanti, że ci, co wiedzą, iż ryby nie należy jeść nożem, mogą rybę jeść nożem? To na terenie salonowym. A jeśli idzie o te tam głębsze moralności, to powiem, i zupełnie szcze- 9

rze, że ja z moralnych względów nie mogę pisać inaczej, albowiem przemilczając te okoliczności sfałszowałbym całą sytuację, jaka się między nami wytworzyła — a taki grzech jest nie do wybaczenia literatowi, gdyż jego hasłem musi być maksymalne zbliżenie się do rzeczywistości. Może więc wcale nie pisać o Schulzu ze mną i o sobie z Schulzem — byłaby jednak godna zalecenia taka abdykacja? Tematy śliskie są po to, żeby uciekały przed nimi dobrze ułożone ciotki, nie zaś literatura. Przemilczeć? Ależ ten niesmak, to jakieś zmęczenie sobą, które ogarnia, gdy nawet tutaj wobec „zmarłego przyjaciela” ja muszę być ja... ależ ja muszę podjąć ryzyko niesmaku!

Jakaż była moja reakcja na wielkoduszność Schulza? Lubiłem go... tak. Wiele i życzliwie z nim ugadywałem, nieraz przyświadczałem, my w oczach ludzi byliśmy parą. Pozory! Natura moja nigdy nie pozwoliła mi podejść do niego inaczej, jak z niedowierzaniem, nie ufałem ani jemu, ani jego sztuce. Czy ja kiedy przeczytałem uczciwie, od początku do końca, któreś z jego opowiadań? Nie — nudziły mnie. Wszystko więc, co mogłem mu powiedzieć, musiało być ostrożne, żeby on się nie połapał w pustce, która i we mnie na niego czyhała. Jak dalece się w tym nie połapywał?

Wcale siebie nie obwiniam za brak uczucia, którym odpłacałem jego uczucie. Przeciwnie — uważam za godne uznania, że nie dałem się przekupić, mnie bardzo podoba się, gdy odpowiadamy nawet lodowatym chłodem na czyjeś rozżarzone temperatury, artysta nie powinien być funkcją cudzych temperatur. Tylko że... kiedyś pisałem o nim artykuł do „Kuriera Porannego” i wtedy, przypominam sobie, bardzo się lękałem, czy aby nie powiedzą, że go chwale, bo mnie chwali... z lęku tego urodził się artykuł nie bezpośrednio o Schulzu, a o tym, jak trzeba go czytać. Czasem tedy bywałem wobec niego wstrętnie małostkowy i to może byłoby nawet podłe, gdyby podłość mojego skąpstwa, podobnie jak szlachetność jego hojności, nie były jak gdyby pozbawione ciężaru. Nieprawdziwe. Na niby. Nierzeczywiste. W cnocie 10 i w grzechu my, embriony, byliśmy niewinni!

Przyjaciele? Koledzy? Ileż razy wymieniano mnie razem z nim w rozmaitych literackich inwentarzach jako „polską prozę eksperymentalną”. A jednak jeśli istniał w polskiej sztuce ktoś mnie przeciwny, na sto procent, to był on.

Nie jestem już w stanie sobie uprzytomnić, czy w dialogu, jaki wiedliśmy za każdym przybyciem jego do Warszawy, zostało to kiedyś wyraźnie stwierdzone. Ale raz, w Alejach, przed pomnikiem Szopena, mówił, że choć nasze gatunki są spokrewnione „swoją ironią, sarkastycznym eskapizmem, grą w ciuciubabkę”, to przecież „moje miejsce na mapie jest o sto mil od twojego i co więcej twój głos, żeby dotrzeć do mnie, musi się odbić o coś trzeciego, nie ma między nami bezpośredniego drutu telefonicznego”.

Według mnie, tak to wyglądało: Bruno był człowiekiem, który wypierał się siebie. Ja byłem człowiekiem, który siebie szukał. On chciał zagłady. Ja chciałem urzeczywistnienia. On urodził się na niewolnika. Ja urodziłem się na pana. On chciał poniżenia. Ja chciałem być „ponad” i „powyżej”. On był z rasy żydowskiej. Ja z polskiej rodziny szlacheckiej.

I on był masochistą — nieustannym, nieposkromionym — to się czuło w nim bez przerwy. Nie, ten nie nadawał się do panowania! Gnom, maleńki, olbrzymiogłowy, jakby zanadto zalękniony, aby odważyć się na istnienie, był wyrzucony z życia, przemykający się chyłkiem, na marginesie. Bruno nie przyznawał sobie prawa do egzystencji i szukał własnego unicestwienia — nie żeby marzył o samobójstwie, on tylko „dążył” do niebytu całym sobą (to właśnie czyniło go tak po heideggerowsku wrażliwym na byt). Moim zdaniem w tym dążeniu nie było żadnego poczucia winy à la Kafka, był to raczej instynkt co choremu zwierzęciu nakazuje odejść na bok, usunąć się. Był zbędny. Był dodatkowy. Możliwe, że jego masochizm inne także miał oblicza — nie wiem — ale na pewno był też hołdem, złożonym traktującym go siłom bytu.

Człowiek wyrzucony z życia... cóż pocznie? Tylko w Ducha może się schronić — i będzie to Bóg, jeśli jest wierzący, Mo- 11

ralność, jeśli nie będąc wierzącym jest moralny, Sztuka, jeśli piękno uwielbił... Bruno w Boga nie tyle nie wierzył, ile się nim nie interesował, a choć o dużym poczuciu moralnym we wszystkich swoich uczynkach, zupełnie nie nadawał się do moralności, pojętej jako doktryna i świadoma zasada działania. Tylko sztuka tedy... I rzeczywiście widziałem go zawsze jej oddanego, przejętego nią z żarliwością i skupieniem, jakich nigdy w nikim nie zdarzyło mi się oglądać — on, fanatyk sztuki, jej niewolnik. Wstąpił do tego klasztoru, tym rygorom się podporządkowywał, pokornie spełniał najsurowsze nakazy by osiągnąć doskonałość.

Tylko nie zdołał osiągnąć uduchowienia...

O ile mogłem poznać Bruna, wcale niełatwego, to jego masochistyczne skłonności, słusznie przez Sandauera uwypuklone, stanowią klucz do katastrofy duchowej, która mu się przytrafiła w jego ostatnim schronieniu, w sztuce. Tak, właściwa masochizmowi dialektyka bólu i rozkoszy (charakterystyczna i dla sztuki), a bardziej jeszcze pragnienie autodestrukcji, wiele mogą tutaj wyjaśnić.

Cóż się dzieje, gdy mnich, biczujący się z zapalem przed świętym obrazem, poczuje naraz, że bicz przestał być narzędziem tortury, stał się narzędziem rozkoszy? Gdyby tę sytuację konsekwentnie rozwinać, doszlibyśmy do makabrycznego paradoksu: grzesznik, aby dostąpić zbawienia, coraz straszliwsze wymyśla sobie tortury, ale im większy ból, tym większa frajda, tym grzech rozkoszniejszy!

Mniejsza o ból. Pomówmy o autodestrukcji. Ten święty artysta — zdarzają się tacy — mógł być, rzecz pewna, zaczerpnąć ze swoich wspaniałych osiągnięć artystycznych tyle godności i dumy, tyle ducha, że biologiczne cherlactwo stałoby się czymś mniej ważnym. Mógł zaistnieć na tym drugim biegunie, gdy życie go odpychało. Kto się poniża, będzie wywyższony — mógł tedy wzbić się. Cóż kiedy poniżenie i pokora nic go nie kosztowały, w nim ich znaczenie moralne było żadne, owszem, jemu sprawiało przyjemność wszystko, co go degradowało, strącało. Do sztuki zbliżał się, jak do jeziora, żeby w nim utonąć. Padając na

kolana przed Duchem doznawał zmysłowej rozkoszy. Chciał być tylko sługą, niczym więcej. Pragnął nieistnienia.

Oto kłopoty kogoś, komu bicz smakuje!

I jeśli nazywał sztukę „zdradą”, lub „fintą”, to dla tej perwersji.

Poniedziałek

Z takim artystą przewrotnym ja się pokumałem. Gdy korzył się z rozkoszą i klęczał zmysłowo, mogła sztuka choć przez chwilę stać się narzędziem jego osobowości, czymś czym on mógłby się posługiwać dla swoich — duchowych, czy po prostu osobistych — celów? Hermes — mówi Sandauer. Nie, w moim pojęciu on niewiele miał z Hermesa, nie był wcale dobrym pośrednikiem pomiędzy duchem a materią. Wprawdzie jego perwersyjny stosunek do bytu (pytanie heideggerowskie: „dlaczego istnieje Coś, a nie raczej Nic?”) mogłoby stanowić motto jego dzieła) prowadził w konsekwencji do tego, że materia stawiała mu się prześwietlona duchem, a duch się ucieleśniał, ale ten proces hermesowski jest u Schulza zaprawiony żądzą „osłabienia” bytu: u niego materia jest skorumpowana, chora, lub podstępnie złośliwa, lub mistyfikująca, a świat duchowy przetwarza się w zgola zmysłową fantasmagorię blaszków i kolorów, jego racja duchowa również ulega korupcji. Istnienie zastąpić półistnieniem, lub pozorem istnienia — takie były skryte sny Bruna. Pragnął osłabić zarówno materię, jak ducha. Nieraz zdarzało mi się omawiać z nim rozmaite zagadnienia moralne, społeczne, ale poza wszystkim co mówił czaiła się bierność kogoś zaprzepaszczonego. Jako artysta tkwił bez reszty w samej materii dzieła, w jej własnej grze i kombinacjach wewnętrznych, kiedy pisał opowiadanie nie było dlań innego prawa, poza immanentnym prawem rozwijającego się kształtu. Fałszywy asceta, zmysłowy święty, mnich lubieżny, nihilistyczny urzeczywistniacz. On o tym wiedział.

Gdy on tak poddawał się sztuce, ja chciałem być „ponad”. To główna między nami sprzeczność.

Byłem, jak się rzekło, szlacheckiego, ziemiańskiego pochodzenia, a to jest obciążenie prawie równie silne i odrobinę tylko mniej tragiczne co czuć za sobą tysiąclecia banicji żydowskiej. Pierwszym utworem, jaki napisałem w wieku lat osiemnastu, była historia mojej rodziny, opracowana na podstawie naszych papierów, które obejmowały lat czterysta dostatniego życia na Żmudzi. Ziemianin — obojętne, szlachcic polski, czy farmer amerykański — będzie zawsze z nieufnością odnosił się do kultury, albowiem jego oddalenie od wielkich skupisk czyni go opornym na międzyludzkie spięcia i wytwory. I będzie miał naturę pana. Zażąda, by kultura była dla niego — nie on dla kultury — wszystko co jest korną służbą, oddaniem się, poświęceniem, będzie mu podejrzone. Któremuż z panów polskich, sprowadzających ongiś z Włoch obrazy, przyszło kiedy do głowy ukorzyć się przed arcydziełem, które wieszał na ścianie? Nie. Traktowano je z pańska — i dzieła, i mistrzów.

Otóż ja, choć zdrajca i wykpiwacz mojej „sfery”, byłem przecie z niej — i chyba już powiedziałem, że wielu moich korzeni należy szukać w epoce największego rozwydrzenia szlacheckiego, w wieku osiemnastym. Jestem bardzo z epoki saskiej. Więc choćby dlatego Bruno, klęczący przed sztuką, był mi nie do przyjęcia. Ale nie na tym koniec. Ja tkwiąc jedną nogą w pocziwym świecie ziemiańsko-szlacheckim, drugą w intelekcie i literaturze awangardowej, byłem pomiędzy światami. Ale być pomiędzy, to też niezły środek na wywyższenie — albowiem stosując zasadę *divide et impera* możesz sprawić, że oba światy zaczną się wzajem pożerać, ty zaś możesz wtedy wymknąć się im i wzbić się „ponad”.

Miałem zwyczaj, że z moimi wiejskimi krewniakami byłem (żeby ich zdenerwować) artystą, a z artystami byłem (żeby ich rozwścieczyć) obywatelem ziemskim, jak się patrzy.

Mnie zawsze irytowali artyści nazbyt fanatyczni. Nie znoszę poetów, którzy są za dużo poetami i malarzy zbyt oddanych malarstwu. Ja w ogóle domagam się od człowieka, żeby się nigdy niczemu całkowicie nie oddawał. Żądam aby był zawsze troszkę poza tym, co robi. Otóż Bruno był artystą
14 bardziej od wszystkich *poètes maudits* i to dla tej paradoksal-

nej przyczyny, że wcale nie uwielbiał sztuki. Uwielbiając jest się kimś, on zaś chciał zatracić się w niej, przepaść.

Ja zaś chciałem być — być sobą — sobą, nie artystą, ani ideą, ani żadnym dziełem swoim — sobą. Być powyżej sztuki, dzieła, stylu, idei.

Wtorek

Lubił, kiedy go atakowałem. Co więcej mam wrażenie, iż dobrze zdawał sobie sprawę z faktu naprawdę dziwnego — a mianowicie, iż ja, tyle czasu go znając, nawet tego trudu sobie nie zadałem żeby przeczytać porządnie jego książkę. Był dyskretny i nie przepytывał mnie zanadto ze swoich utworów, wiedząc, że nie zdam egzaminu. (Ale może było mu wiadomo — jak mnie — że sztuki wysokiego lotu prawie się nie czyta, że ona działa nieraz jakoś inaczej, samą obecnością swoją w kulturze?) Wszystko co stanowiło moją wiedzę o nim (i teraz stanowi) pochodzi z okrucich lektury (które mnie olśniewały) skombinowanych z okruciami, które mi pozostały z wielu rozmów. Czy jemu to może smakowało we mnie, że gardziłem? I stawiał mnie na świeczniku, bo gardziłem?

To także mnie zastanawiało, że tak dobrze i gładko mnie rozumiał w tym, co mnie od sztuki oddalało, a łączyło ze zwykłością życia. W tym bywam najtrudniejszy do uchwycenia dla ludzi kulturalnych, wykształconych. — Jak się dzieje, że ty, pisarz trudny, wyrafinowany, nudzisz się Kafką, nie lubisz malarstwa, zaczytujesz się kiepskimi powieściami? — takie pytania nieraz mi stawiano. Dla Bruna to jakieś zakostno moje nie było problemem (może po prostu dlatego, że świetna jego inteligencja ujmowała mnie szerzej).

Frustracja. Kiks. Kto wie... może jemu to odpowiadało nie tylko dlatego, że był zasadniczo wrogiem urzeczywistniania. Może to, że jego zdolność do podziwu natrafiła na moją zdolność do niepodziwiania, było dla nas obu wzbogaceniem z punktu widzenia naszych artystycznych możliwości?

Ktoś kto by podsłuchał nasze rozmowy z owych lat, już dawnych, wziąłby nas może za konspiratorów. Cóż to za spisek? Bruno mnie mówił o „nielegalnym kodeksie”, a ja jemu o „rozsadzaniu sytuacji” i „kompromitowaniu formy”, on mnie o „bocznym torze rzeczywistości”, a ja jemu o „wyzwalającej kakofonii”. Była też mowa o „subkulturze” i „nie-dopiękności”, o „tandecie” (którą Bruno nazywał „ersatzem”) itd. Cóż to za laboratorium?

W rzeczy samej, byliśmy spiskowcami. Pochłonięci byliśmy eksperymentowaniem z pewnym materiałem wybuchowym, który nazywa się Forma. Ale nie była to forma w znaczeniu zwykłym — tu chodziło o „stwarzanie formy”, jej „produktowanie” i o „stwarzanie się poprzez stwarzanie formy”. Trudno mi to wyjaśnić w paru słowach, kto ciekaw niech zajrzy do naszych książek. Zaznaczę tylko iż, choć każdy z nas inaczej sobie poczynił (bo gdy ja poprzez prowokację formy i jej dysonansowe wybuchy chciałem dojść do siebie, czy do człowieka w ogóle, on oddawał się tej alchemii gratis, zupełnie gratis, z bezinteresownością istoty marginesowej), to jednak mieliśmy pewną cechę wspólną. Obaj byliśmy wobec Formy zupełnie sami. Ten mnich bez Boga... i ja, z moim dumnym człowieczeństwem, które było rzeczywiście „same w sobie”, o nic nie oparte, rodzaj kategoriycznego imperatywu krzyczącego w próżni: bądź sobą!

Te więc igraszki z formą nas łączyły. I tu właśnie nasuwa mi się podejrzenie — czy dla eksperymentatorów, jak my, ludzi w fazie próbnej, plahta w naszym wzajemnym stosunku nie była rzeczą najszcześliwszą? A cóż by się stało, gdybym odpowiedział podziwem na podziw — czy wówczas nie poczulibyśmy się, jeden wobec drugiego, zanadto zrobieni... zanadto na serio?... Gdyby czuł mój podziw, gdybym ja, podziwiając, nadał wartość jego podziwowi — czyż to nie uczyniłoby nas za ciężkimi do eksperymentowania... ze sobą? Och, tak, i on, i ja, szukaliśmy podziwu, afirmacji... bo próżnia męczy... Czy jednak taka harmonia byłaby w naszym stylu? Wszak o wiele zgodniejszy 16 z nami był właśnie obrót rzeczy spartaczony, w któ-

1961
rym jego wyciągnięta ręka nie napotykała mojej — ta sytuacja typowo schulzowska, a i mnie nieobca, pozwalała nam przynajmniej zachować dziwną wolność istot jeszcze nie urodzonych, szczególną niewinność embrionów — to zaś czyniło nas lekkimi wobec Formy.

A co się tyczy podziwu — i niepodziwu — cóż nas to mogło osobiście obchodzić, gdy obaj byliśmy z *nieprawdziwego zdarzenia*?

Czwartek

O trzecim muszkietierze nadmieńmy jeszcze. O Witkacym. Ten w pióropuszu dandyzmu metafizycznego, wiecznie odstawiający wariata. Nie lubiłem go. Drażnił mnie, a jego eksperymenty z formą, najśmielsze chyba, nie były dla mnie przekonywujące — zanadto intelektualne, nie umiające wyjść poza grymas... Uważałem, że brak mu talentu. A jego tricki podobne do tego, czym dzisiaj Dali epatuje, zanadto jak na mój gust były klasyczne w swoim surrealizmie.

Witkacy, jak król Lear, ukazywał się zawsze z orszakiem dworzan i błazenków, rekrutowanych przeważnie z rozmaitych pokurczów literackich (jak większość dyktatorów znosił tylko istoty podrzędne). Niejeden z tych kornych akolitów, widząc Schulza, lub mnie, z mistrzem, zaliczał nas do witkacowego dworu, gdyż w jego służbistej głowie nie mogła się pomieścić inna interpretacja — i stąd powstała gadka, że Schulz i ja wywodzimy się z witkacowej szkoły. Nic podobnego. Bruno, o ile mi wiadomo, też niewiele z niego zaczerpnął i sądził go bez entuzjazmu; a w utworach jego śladów Witkacego nie widzę.

Ale byliśmy mimo wszystko trójką i to dosyć charakterystyczną. Witkiewicz: umyślne afirmowanie szaleństw „czystej formy” przez zemstę, a też żeby się wypełniły tragiczne przeznaczenia, wariat zrozpaczony. Schulz: zatracenie się w formie, wariat utopiony. Ja: żądza przebiccia się poprzez formę do „ja” mojego i do rzeczywistości, wariat zbuntowany.



Przeglądam kartki o Schulzu napisane. Czy on był akurat taki? Czy ja byłem taki? Prawdo prawdziwa, kto ci soli na ogon nasypie?!

Co do wdzięczności... nie lubię tego uczucia... nie, żebym był naturą niewdzięczną, tylko że ono takie nieporęczne, nie dające się dobrze wyrazić, przez to niebezpieczne. Ileż nazwisk powinien bym, jak mówi Szekspir, „zapisać do księgi, którą co dzień odczytuję”! Notatka w „Kulturze”, że na koniec pierwszą w życiu załapałem nagrodę (Boże wielki!) wymienia Wittlina i Sandauera, jako tych co memu trupowi powiedzieli: ożyj! Ale, jeśli tę notatkę pisał Jeleński, to Jeleński zapomniał dodać, że wszystkie wydania moich dzieł w obcych językach powinny być opatrzone pieczętą „dzięki Jeleńskiemu”.

Czasem naokoło siebie widzę tylko las wrogów. A czasem, gdzie okiem rzucę, ukazuje się dobroczyńca. Litce, na przykład, zawdzięczał Waltera Tiela. A Tielowi zawdzięczał przekład *Ferdydurki* z polskiego na niemiecki, powitany chórem pochwał w prasie niemieckiej — i zawdzięczał mu wysiłek tak gorący, bezinteresowny, skrupulatny, że w tej chwili już prawie wszystkie moje utwory są, przed terminem, przyswojone niemczyźnie i gotowe do wydania. Jak się odwdzięczyłem Litce, że mi ten skarb wynalazła, że odważyła się mnie go narzucić? Napisałem: „Nie przeczę, utrafiłaś, ale co prawda człowiek strzela, Pan Bóg kule nosi”.

Niedziela

Korespondencja. Z przykrością muszę odmówić pani Gerdzie Hagenau z Wiednia autoryzacji na zamieszczenie mego tekstu w antologii polskiej literatury, którą przygotowuje po włosku dla wydawnictwa Feltrinelli.

Czynię to, ponieważ w przedmowie tej pani do antologii opowiadań polskich w języku niemieckim pt. *Polnisch erzählt*,
18 która się niedawno ukazała, literatura emigracyjna została wy-

rażnie zlekceważona, a wywyższeni zostali jej kosztem pisarze krajowi. Ignorancja? Polityka? Nie wiem. W każdym razie uważam, że pisarze emigracji nie powinni brać udziału w imprezach, które są mętną wodą na tamten młyn — co gorzej, z pozorami „obiektywizmu”.

Wtorek

Beduino i ja na przystanku, czekamy na omnibus 208. Mówię do niego: — Stary! Uważasz, w omnibusie, żeby się nie nudzić, zadamy szyku! Zaimponujemy! Rozmawiaj ze mną, jakbym był dyrektorem orkiestry i jakbyś sam był muzykiem, wypytuj mnie o Toscaniniego...

Beduinowi w to graj. Wsiadamy. Umieszcza się w stosownej odległości i zaczyna głośno: — Na mój gust, to ja bym wzmocnił kontrabasy, zwróć także uwagę, mistrzu, na fugato...

Ludzie się przysłuchują. Ja mówię: — Hm, hm...

On: — I na blachę w tym przejściu z Fa na Re... Kiedy masz ten koncert? Ja będę grał czternastego... *A propos*, kiedy mi pokażesz ten list Toscaniniego?

Ja (głośno): — Młodzieńcze, dziwię się... Toscaniniego nie znałem, dyrektorem orkiestry nie jestem i nie rozumiem doprawdy po co ci popisywać się przed ludźmi udając muzyka. A fe, cóż to za strojenie się w cudze piórka?! To bardzo brzydko!

Wszyscy patrzą surowo na Beduina, który w pąsach, topi we mnie mordercze spojrzenie.

Środa

Urodzaj teraz w prasie emigracji na pośredników między moim zepsuciem a powszechną zacnością. Niedawno jeszcze byłem po prostu pajac i świnią, dziś — że to jednak jest zagraniczny rezonans — rozmaici wyjaśniacze zabrali się do „obiektywnego” acz kwaskowatego wykładania moich twórców (potworów?) z miną „nie będę chwalił, ani ganił, niech czy- 19